



# **RAPORT Z EMIGRACJI**

**NADBAŁTYCKIE  
CENTRUM  
KULTURY**



**Opowieść o życiu poza krajem,  
duńskiej emigracji i Janinie Katz:**  
Bogusława Sochańska



Gdy słuchałam rozmowy z panem Maciejem Zarembą Bielawskim, pomyślałam, jaka to szkoda, że Janka nie może osobiście o sobie opowiedzieć, że ja muszę to zrobić. Taka jest wyższa konieczność – Janina Katz nie żyje od 2013 roku.

Ponieważ jestem jej tłumaczką, a także jej przyjaciółką, więc mówiąc o niej, zawsze mówię też trochę o sobie – w opowieściach o Jance zawsze są moje emocje... Nie mogę tego uniknąć. Chciałabym najpierw opowiedzieć, jak to się stało, że poetka trafiła do polskiego czytelnika jako pisarka duńska, w przekładach na polski. Otóż los chciał, że w latach 90. przez pięć lat mieszkałam i pracowałam w polskiej ambasadzie w Danii. A ponieważ zajmowałam się tam kulturą, to w oczywisty sposób musiałam zetknąć się i poszukać kontaktu z osobą, która już wtedy najwyraźniej była najważniejszym ambasadorem polskiej kultury w Danii: w połowie lat 90. Janina Katz dokonała już przekładów wielu dzieł najważniejszych polskich pisarzy i poetów – i to nie dlatego, że ktoś je u niej zamawiał. Sama przygotowywała wybory wierszy Miłosa, Różewicza, Herberta, Lipskiej, Szymborskiej, prozę Mrożka, Konwickiego, Brandysa, i szukała wydawców. „Wychodziła” więc te przekłady. Była ambasadorką kultury polskiej nie tylko jako autorka tłumaczeń, ale także jako sprawczyni tego, że te teksty w ogóle trafiły do duńskiego czytelnika.

Trochę się jej bałam, ponieważ wcześniej zetknęłam się z kilkoma osobami, które opowiadały mi, jak trudną osobą jest Janina Katz, jak bezkompromisowo okrutna potrafi być czasem w sądach. Dość onieśmielona zapukałam kiedyś do jej drzwi, oczywiście uprzednio umówiwszy wizytę. Tych pierwszych kilka spotkań w połowie lat 90. było rzeczywiście naznaczonych pewnym dystansem. Spotkałam drobnutką osobę o niebywałej erudycji (zorientowałam się po kilku rozmowach), mówiącą przepiękną polszczyzną niezwykle pięknym melodyjnym głosem. Miała ogromne błękitne oczy i bardzo wyraziste, drapieżne nawet rysy twarzy, oraz wielką bujną czarną czuprynę. Mieszkała sama w maleńkim dwupokojowym mieszkanku, z kuchenką licząca może dwa i pół metra kwadratowego i łazienką o powierzchni może jednego metra kwadratowego. Kontrast skromnego otoczenia z jej erudycją, z niebywałą wiedzą i wrażliwością, a także gotowością dzielenia się poglądami i wrażeniami na każdy temat

dotyczący sztuki, kultury i nie tylko, był dla mnie fascynujący. Wkrótce Janina Katz zaczęła otrzymywać duńskie nagrody literackie, a zadebiutowała w Danii jako poetka pisząca po duńsku cztery lata wcześniej, w 1991 roku.

Wróćę teraz do jej historii i do jej początków w Danii. Urodziła się w 1939 roku w Krakowie, w rodzinie w stu procentach żydowskiej (Janina Katz nie miała takich problemów, o jakich opowiadał Maciej Zaremba Bielawski). Jej rodzinę wywieziono do obozu w Płaszowie pod Krakowem wraz z innymi krakowskimi Żydami. Już z obozu rodzicom udało się wysłać dwuletnią wówczas, jedyną córeczkę, do Dobczyc, na południe od Krakowa. Mała dziewczynka znalazła się w dość dużej wsi, w bezdzietnej rodzinie i była wychowywana – co uważano wówczas za konieczność – w katolicyzmie.

Ojciec został zastrzelony w obozie, w tragicznych okolicznościach, o czym Janina pisze w swoich książkach. Natomiast mama trafiała do kolejnych obozów i jakoś przeżyła wojnę. Po jej zakończeniu, kiedy udało się jej wrócić do Krakowa, odnalazła całą i zdrową córkę. Jednak dziecko miało już nową mamę, i oczywiście tę nieznaną najpierw odrzuciło. Trudne relacje z matką to jeden z powracających w całej twórczości Janiny Katz wątków.

Pierwsze lata po wojnie to oczywiście dzieciństwo, szkoła podstawowa i żarliwa religijność, potem liceum i żarliwy komunizm, studia na Uniwersytecie Jagiellońskim (polonistyka i socjologia) i pełną piersią przeżywana kultura studencka, szaleństwa, miłości, zdobywanie wiedzy, kontakty z wielkim artystycznym światem Krakowa tamtych czasów, wzrastanie w tej niezwyklej atmosferze.

Gdy przyszedł rok 1968, Janka mieszkała z mamą w jednym pokoju dwupokojowego mieszkania. Drugi zajmowała rodzina z innego bieguna społecznego, nie tylko w sensie religijnym czy narodowościowym (z tym „narodowościowym” mam problem: nie potrafię mówić „Polacy i Żydzi”, raczej wolę mówić „katolicy i Żydzi”. O dziwo, moi przyjaciele Żydzi też mówią „Polacy i Żydzi”, chociaż sami uważają się za Polaków – to jest strasznie skomplikowane i trudne, ale też ciekawe). Może najważniejszy z tego jest fakt, że była to rodzina alkoholików. Dwóm kobietom przyszło więc żyć w mało ciekawym środowisku. Janina Katz bardzo często podkreślała w wywiadach duńskich, że jej osobiście nie dotknęły prześladowania ani przykrości w czasie wydarzeń marcowych czy później. Natomiast, jak w przypadku bardzo wielu emigrantów marcowych, po prostu serce bolało ją tak bardzo, z powodu tego co się działo, że po długich wahaniach postanowiła jednak wyjechać (jej mama już wcześniej wyjechała do Wiednia). Nie zakładała, że wyjeżdża na stałe. Wystarała się w związku z tym o paszport turystyczny, nie emigracyjny. Chciała mieć otwartą furtkę, chciała móc wrócić do kraju, liczyła też, że wyjedzie za nią jej ukochany, tak się jednak nie stało.

Mówiła mi, że jednym z elementów decyzji o pozostaniu na Zachodzie była również przaśność rzeczywistości, w jakiej żyło się w Polsce. Brak widoków na normalne mieszkanie, konieczność współegzystencji z ludźmi z zupełnie innego świata – to było ciężkie (*notabene* zabawnie i z humorem opisane w powieści *Pucka*). Była to kropla, która przelała czarę goryczy i ostatecznie przesądziła o pozostaniu za granicą. Janka wyjechała najpierw do Niemiec, do Monachium, tam nawiązała kontakt z Radiem Wolna Europa, później trochę z nimi współpracowała, ale ostatecznie osiadła w Kopenhadze, bo Dania otworzyła swoje granice dla polskich Żydów i tam znaleźli się jej przyjaciele.

Janka miała wtedy mniej więcej trzydzieści lat. Była osobą piszącą. Jeszcze w kraju pisywała do „Życia Literackiego”, do „Współczesności”, do kilku innych pism. Zapowiadała się na zdolną krytyczkę literacką – zresztą, zajmowała się tym później przez wiele lat. Jeszcze w latach 90., już po zmianie systemu, pisywała od czasu do czasu do krakowskiego miesięcznika „Znak”. Ale oczywiście nie przypuszczała wtedy i nie planowała (wiem to od niej), że zostanie pisarką. Krótco po osiedleniu się w Danii dostała pracę w Bibliotece Królewskiej, katalogowała tam literaturę krajów Europy Wschodniej. Robiła to bez entuzjazmu, mówiąc delikatnie. W 1980 roku, czyli po około dziesięciu latach, reformowano bibliotekę i zwolniono dużą część pracowników. Janina Katz znalazła się w tej grupie. To był pierwszy impuls, który sprawił, że zajęła się tłumaczeniem literatury polskiej. Przez mniej więcej dziesięć lat zajmowała się przekładami, z czasem coraz mniej prozą, poezja bardziej jej odpowiadała. A na początku lat 90. zaczęła sama pisać, po duńsku. Ogółem opublikowała trzynaście tomów wierszy, pięć powieści, dwa tomy opowiadań i książkę dla dzieci.

Zaczął się od tego, że opowiadała historię swojej rodziny duńskim znajomym i jeden z wydawców jej tłumaczeń zaczął ją namawiać, by ją spisała. To był bodziec, który chyba – przynajmniej tak opowiadała – miał decydujące znaczenie. Tylko że zamiast opowieści o rodzinie nagle pojawiły się wiersze. W 1995 roku, kiedy przyjechałam do Danii, właśnie minęły cztery lata od jej debiutu poetyckiego i dwa od prozatorskiego – opowieści o losach rodziny, o którą prosił ją wydawca. I świeża jeszcze była wiadomość o tym, że powieść autobiograficzna *Moje życie barbarzyńcy* została uznana w Danii za książkę roku 1993.

W 1996 roku ukazała się druga powieść, *Pucka*. Czytałam wtedy wszystkie jej książki po kolei, znałam wszystkie tomy poetyckie, także najnowszy, trzeci z kolei. Kiedy przeczytałam *Puckę*, po części autobiograficzną powieść, której akcja toczy się w Krakowie, nie tylko, ale głównie w Krakowie lat 60., wiedziałam już, że tę twórczość trzeba pokazać w Polsce, bo dotyczy polskiego i żydowskiego losu, jest elementem obecności polskiej w kulturze Danii. Także dlatego, że miałam po prostu poczucie zobowiązania. Kiedy



wyjeżdżałam do pracy w ambasadzie, byłam Polką głęboko zakompleksioną, tak jak – moim zdaniem – większość z nas wtedy, chociaż mało kto się do tego przyznaje. Na dodatek nosiłam w sobie poczucie winy za los, jaki spotkał Żydów w Polsce – część z nas też ma takie doświadczenie osobiste. Janka w swoich książkach, w prozie, pisze o Polsce, mitologizując ją i idealizując, ale to był miód na moje zakompleksione polskie serce. Tu, w kraju, mówiło się, że osławiony polski antysemityzm nagłaśniają na Zachodzie właśnie marcowi emigranci, a ja nagle spotykam osobę, która robi coś dokładnie odwrotnego, wręcz okłamuje sama siebie i mówi, że w Polsce antysemityzm jest taki sam jak w każdym innym kraju, pisze, jaka wspinała ta Polska, no, może nie tyle sam kraj, ile kultura. Ona była dzieckiem polskiej kultury, to nie ulega wątpliwości, zawsze to podkreślała.

Zacząłam więc najpierw tłumaczyć *Moje życie barbarzyńcy*. Przetłumaczyłam całą książkę jeszcze mieszkając w Danii i wkrótce, to był rok 1999, przyszedł moment mojego powrotu do Polski.

W międzyczasie Janka została laureatką kilku duńskich nagród – sypały się na nią niemal z każdą kolejną książką. Były też nominacje do nagród o poważnym wymiarze finansowym, tych niestety nie dostała, ale nominacje pozostały w życiorysie. Miałam wówczas wrażenie, że co rusz pojawia się w mediach wywiad z Janiną Katz. Zawsze ją w tych wywiadach pytano o losy rodziny, o Holocaust, który jest tematem powracającym w jej twórczości. Zacytuję jedno zdanie, dobrze charakteryzujące ton, w jakim reagowała na te pytania. W jednym z największych wywiadów, który ukazał się w 2011 roku w „Weekendavisen”, zapytana przez dziennikarza Klausa Wivela, jak może lubić Polskę po tym, co spotkało jej rodzinę, odpowiedziała: „Polacy uratowali mi życie, nie mogę tak po prostu o tym zapomnieć”. I to był ten powracający argument, a także fakt, że poprzez język, wychowanie i wykształcenie utożsamiała się z kulturą polską.

Na przestrzeni lat, w miarę starzenia się, a może trafniej: w miarę dojrzewania (bo tak z nami jest, że starząc się, dojrzewamy), coraz więcej uwagi poświęcała Izraelowi. Pod koniec życia przynajmniej raz w roku jeździła do Izraela na trzy tygodnie wakacji. Odkrywała dla siebie Izrael, a w twórczości poetyckiej sięgała bardzo głęboko, próbowała szukać, badać swoją tożsamość. W wielu jej wierszach są nawiązania do Starego Testamentu, do postaci biblijnych, są też rozmowy z Chrystusem, który – jak gdzieś kiedyś napisała – w dzieciństwie był jej idolem. Fascynujące są te wiersze, z jednej strony poszukiwanie duchowości, z drugiej – zgłębianie własnej tożsamości. Tożsamość, jak można wywnioskować, czytając jej powieści i wiersze, podlegała u niej procesowi dojrzewania. To oczywisty proces: młoda dziewczyna – zafascynowana sztuką, kulturą w Krakowie, w środowisku Piwnicy pod Baranami, na UJ – która w stu procentach identyfikuje się jako Polka, mieszka z mamą, w sposób nienachalny przypominającą

jej, że jest Żydówką. Janina w młodości pozostawała w ciągłym konflikcie z mamą, czego jako dojrzała kobieta nie mogła sobie wybaczyć i co we wszystkich jej powieściach i w wielu wierszach powraca, jak cierni, który uwiera jej duszę, jak wyrzut sumienia, potrzeba zadośćuczynienia. Te dwie mające tylko siebie istoty mieszkały bowiem w dwóch różnych miejscach w Europie: mama w Wiedniu, a Janka w Kopenhadze – mieszkanie w jednym pokoju pozostawiło po sobie traumę, potrzebny był dystans. Potrzebny był córce. Ale z czasem stał się przyczyną jej cierpienia, wyrzutów sumienia.

Wróciłam do Polski w 1999 roku i natychmiast zaczęłam szukać wydawcy dla pierwszej powieści *Moje życie barbarzyńcy*. Te poszukiwania trwały siedem lat. Nie dlatego tak długo, że nikt nie chciał wydać książki, bo tu byłabym niesprawiedliwa, ale dlatego, że jestem osobą bardzo zajętą i nie była to jedyna rzecz, jaką się zajmowałam. Wysłałam tłumaczenie do jednego wydawnictwa, czekałam pół roku, nie odpowiedzieli, wysłałam do następnego... i tak dalej. W końcu mój serdeczny, bardzo mi bliski przyjaciel, Michał Jagiełło, pisarz i wówczas dyrektor Biblioteki Narodowej, zaczął mnie umawiać z wydawcami i wskutek tych rozmów i peregrynacji trafiłam w końcu do Pawła Książkiewicza, wówczas współwłaściciela wydawnictwa Jacek Santorski & Co, i wreszcie pierwsza powieść Janki mogła się ukazać. To było w 2006 roku. Książka znalazła spore grono czytelników i dzięki temu już po dwóch latach mogłam skończyć drugą powieść. *Pucca* ukazała się w 2008 roku. Nie jest może najlepszą powieścią Janki (w sensie czysto warsztatowym i nie tylko), ale miała nawet dodruk. Wydawca docenił zainteresowanie, jakim zaczęła się cieszyć Janina Katz.

Po dwóch kolejnych latach, w 2010 roku, wyszła powieść *Opowieści dla Abrama* – bardzo piękna, znakomicie skonstruowana. Wtedy tłumaczyłam już wiersze Janiny Katz, było wówczas może osiem duńskich tomików. Bardzo trudno jest wydać w Polsce, gdziekolwiek zresztą, wiersze poety z innego kraju, który jeszcze nie ma wielkiego nazwiska. Żaden wydawca nie zarobił na wydawaniu wierszy, o ile nie chodzi o Miłosza, Szymborską, czy innego aktualnego noblistę. Siedem lat trwało poszukiwanie wydawcy dla tego tomu.

Ostatecznie zbiór ukazał się w Bibliotece Śląskiej, która wydaje też książki (podobnie jak inne duże biblioteki, na szczęście; w niektórych ukazuje się bardzo dużo poezji). Na okładce widnieje fotografia Janki zrobiona przez Piotra Topperzera<sup>1</sup>, autora całej serii portretów duńskich artystów-imigrantów, w tym Polaków, głównie żydowskiego pochodzenia, którzy mocno zaistnieli w kulturze duńskiej. Ponieważ poszukiwania wy-

<sup>1</sup> Projektowi „Raport z emigracji” towarzyszyła wystawa „W Danii jestem. Imigranci w obiektywie Piotra Topperzera”, Galeria NCK, 4–31 października 2019.

dawcy trwały siedem lat, powiększałam wybór i powiększałam, toteż ostatecznie tom *Powrót do jabłek* jest wyborem z jedenastu duńskich tomików autorki. Wierszy jest około stu, choć przetłumaczyłam ich ponad sto pięćdziesiąt.

Janka autoryzowała wszystkie moje przekłady. Chciałam jej oszczędzić zawodu i wysyłałam każde tłumaczenie. Ona je poprawiała po swojemu, proponowała jakieś zmiany... Podobnie było z wierszami. Ponad pięćdziesiąt wierszy w ogóle mi skreśliła, bo uważała, że są kiepskie. *Notabene* nigdy nie mówiła o swojej poezji „wiersze”, tylko „syfiluty” – tyle miała w sobie pokory! Była zawsze zdziwiona uznaniem, jakim cieszyła się w Danii jako poetka. W 2012 roku, rok przed śmiercią, dostała nominację do najważniejszej nagrody literackiej w Skandynawii, tj. do Nagrody Literackiej Rady Nordyckiej. Nie zapomnę momentu, kiedy zadzwoniła do mnie późnym wieczorem i drżącym głosem powiedziała mi o tej nominacji: „Ale wiesz co, jeszcze nikomu nie mów, bo może to pomyłka”. Przypomniałam sobie dzisiaj o tej rozmowie, wspomniałam też o niej tuż po śmierci Janki, w tekście zamieszczonym w „Odrze”. Była to nagła śmierć, niespodziewana... Mimo że Janka długo chorowała, wszystkich nas zaskoczyło jej odejście. Człowiek się przyzwyczaja, kiedy ktoś długo choruje...

W międzyczasie Janina Katz wydała jeszcze dwa duńskie zbiory, a także dwa polskie, pisane po polsku i wydane w jej ukochanym Krakowie. Powiem nieskromnie, że moim zdaniem Janina Katz zaczęła tworzyć po polsku, kiedy ja tłumaczyłam jej duńskie wiersze na język polski, jakoś w sposób naturalny jej pióro wtedy ruszyło. *Notabene* tomik, za który została nominowana do Nagrody Rady Nordyckiej, nosi tytuł *Skrevet på polsk*, czyli *Pisane po polsku*. To jest tom po części składający się z wierszy pisanych po polsku, które jeszcze raz napisała wtedy po duńsku, i z takich, które napisała tylko po duńsku. Pod koniec życia te dwa języki zaczęły się pleść w jej twórczości.

Ale w Danii ukazywały się też kolejne książki prozatorskie: dwa tomy opowiadań i książka dla dzieci, a także jeszcze dwie powieści. Obie, podobnie jak *Pucka* i *Opowieści dla Abrama*, dotyczą wspomnianych już wcześniej tematów, ale i tęsknoty za miłością, tematu także wszechobecnego w jej twórczości. W 2020 roku ukaże się u nas *Chłopiec z tamtych lat* – przedostatnia powieść Janiny Katz. Opowiada przede wszystkim o sytuacji emocjonalnej emigrantów marcowych po osiedleniu się w nowym kraju, o nieudanych próbach zapuszczenia korzeni w nowym miejscu. To bolesne i przejmujące. Jest to jedna z najważniejszych książek Janiny Katz.

Wspomniałam już o Holocauście, o którym pisała w poruszający sposób, ale z ogromną dyscypliną. Starła się maksymalnie powstrzymać swoje emocje, łamała grozę humorem, czasem sarkazmem, czasem ironią, nie ma tam patosu, nie ma silnego napięcia

emocjonalnego. Ono wytwarza się dopiero w czytelniku, kiedy czyta o tych strasznych rzeczach opisanych w tak nieoczekiwany sposób. Czasem zdarzają się nawiązania do konkretnych, rzeczywistych wydarzeń, np. w *Opowieściach dla Abrama* opis getta wileńskiego i teatru, który tam działał, pojawia się tam również postać znanego później izraelskiego poety Abrahama Suckewera. Janina Katz odczuwała czasem potrzebę opowiedzenia jakiejś historii, która niekoniecznie miała bezpośredni związek z tematem książki, i uważam te zabiegi za bardzo trafne, bo pozwalają czytelnikom otrzeć się o zdarzenia, o których może nigdy by się nie dowiedzieli.

To, co mnie bardzo interesowało w jej wierszach, to język. Czym jest język dla emigranta? I w ogóle dla człowieka? Język to jest ojczyzna. Janka bardzo często o tym mówiła. Dla niej polszczyzna była ojczyzną, duńszczyzna była językiem przyswojonym. Dania była krajem przyswojonym.

Zapytana kiedyś o to przez dziennikarza, powiedziała: „Nigdy nie miałam ambicji bycia Dunką. A dlaczego to miałabym zostać Dunką? Gdy tu przyjechałam, skończyłam trzydzieści lat. Jestem polską Żydówką, która mieszka w Danii i pisze po duńsku”. Tak się określała. Ja jednak troszeczkę bym tu poprawiła, bo wydaje mi się, że ona przez lata przeistoczyła się z Polki w polską Żydówkę, a na koniec czuła się może nawet bardziej Żydówką niż Polką. Z czasem żydowska część tożsamości wypełniała coraz bardziej przestrzeń w jej świadomości i w jej emocjach. Język był natomiast oczywiście wielkim problemem – jak zawsze, kiedy człowiek osiada w innym świecie, w innej kulturze i musi pokonać bardzo poważne przeszkody i bariery. A język duński stanowi bardzo wysoką poprzeczkę, wymowa jest dramatycznie trudna do przyswojenia przez osobę dorosłą. Jance nigdy się to nie udało, mówiła duńszczyzną zupełnie nieprawdopodobną. My, Polacy, słuchający jak mówi, dziwiliśmy się, że Duńczycy ją rozumieją. Ale rozumieli. Byłam z nią na dwóch czy trzech spotkaniach autorskich w bibliotekach w Danii, czytała wiersze tym swoim przepięknym melodyjnym głosem, bardzo powoli, i nikt nie przechodził z nią na angielski, co było doświadczeniem wielu z nas. Kiedy Duńczycy orientują się, że ktoś słabo sobie radzi z duńskim, od razu przechodzą na angielski, ale to nie dotyczyło Janiny Katz.

Chciałabym na zakończenie pokazać, jak istotny był dla Janiny Katz, i sądzę, że dotyczy to wielu emigrantów, problem języka. Oto garść jej wierszy (w moim tłumaczeniu), są bardzo wymowne i pokazują nie tylko problem języka, ale całości doświadczenia emigracyjnego.



### *Dwugłowe ciele*

To dziwne,  
dwujęzyczność  
nie daje uczucia triumfu.

Ani uczucia rozdwojenia.  
Jest raczej  
jak nieuniknione zniknięcie  
najstarszego i najlepszego przyjaciela.  
Zamiast tego:  
dwóch dobrych znajomych.

Albo jak bycie  
cielęciem  
o dwóch głowach,  
które nie trzymają się  
wystarczająco mocno.

I dlatego  
kiwiają  
do siebie.

Ze smutkiem

### *Jestem złodziejem*

Jestem złodziejem.  
Ale kogo okradam?  
To nie mój język.  
To nie mój kraj.  
Przychodzę jak złodziej  
za dnia.

Nocą zachowuję się  
nadzwyczaj szlachetnie.  
Odwiedzam miasteczko,  
w którym się nie urodziłam.  
Mówię moim własnym językiem.  
Rany otwierają się  
i zamykają.

### *O moim języku ojczystym*

Miałam taki sen pewnej nocy cichej  
i tak samotnej, że moja krew zaczęła tężeć.  
We śnie płynęłam w powietrzu.  
Nie za wysoko i nie blisko ziemi.  
Było tam miasto i była ulica.  
Płynęłam pod prąd,  
bo tak było najłatwiej.  
Na prawo i na lewo,  
żywo rozprawiając,  
płynęli inni ludzie.  
Rozumiałam wszystko, co mówili.  
I obudziłam się lekka i tak szczęśliwa,  
że zaczęłam płakać.



**Hołd**

Przyjdź mi na ratunek,  
naprawdę jestem w pętli.  
Nawet nie chciała ze mną rozmawiać  
wróżka.

Ostatni raz, gdy spotkałam ją na ulicy,  
przeraziła się  
i przewrócił ją  
rozbawiony rowerzysta.

Przyjdź mi na ratunek,  
nie jesteśmy sobie obcy.  
Gdy miałam świnkę,  
stałeś przy moim łóżku,  
dając tajemnicze znaki.  
Na przemian otwierałeś  
i zamykałeś usta,  
a ku mnie płynęły  
wielkie chmury dymu  
pełne słów, pytańników  
przecinków i średników.

Przyjdź mi na ratunek,  
jestem chora na życie.  
Potrzebuję morfiny.  
Powiedz mi alfabet  
i odyseję  
o tym dziwnym człowieku,  
który płynął do domu,  
choć nie miał na to ochoty.

Na kocich łapach  
skrada się ciemność.  
Jestem twoją Penelopą,  
niewierną,  
ale zakochaną.  
Przyjdź mi na ratunek,  
mój języku,  
stary przyjacielu.

**Czego nie robiliśmy razem**

Mówisz:

- Jest wiele rzeczy,  
których nie robiliśmy  
razem.

Odpowiadam:

- Na przykład  
nie łączyliśmy razem  
po drzewach.  
Łatwa rozmowa,  
która rzadko się nie udaje.  
Pewnego dnia  
przyjeżdża przyjaciel  
z kraju mojego dzieciństwa.  
Rozmawiamy.  
Łazimy po drzewach.  
Pochylam się  
i widzę  
na podłodze  
moje kule.  
Godzina wolności.  
Wspólny  
język  
dzieciństwa.





**Tekst**

Bogusława Sochańska

**Korekta**

Elżbieta Pękała

**Opracowanie graficzne i skład**

Michał Pecko, Marta Stasiukiewicz

Seria publikacji jest zapisem rozmów i rozważań dotyczących emigracji oraz doświadczeń polskich i żydowskich w obrębie krajów skandynawskich. Treści prezentowane w zbiorze zostały zarejestrowane w październiku 2019 roku, podczas konferencji „Raport z emigracji. Spotkania ze światem” w ramach jesiennej odsłony Festiwalu Kultur Okno na Świat.

**Wydawca**

Nadbałtyckie Centrum Kultury

ISBN 978-83-954267-3-5



Nadbałtyckie  
Centrum Kultury  
Gdańsk



INSTYTUCJA KULTURY  
SAMORZĄDU  
WOJEWÓDZTWA  
POMORSKIEGO



DANSK  
KULTUR-  
INSTITUT  
  
DUŃSKI  
INSTYTUT  
KULTURY

SPOTKANIA  
ZE  
ŚWIATEM



